

Dominik Tylka: Europa gorszego sortu? Istvána Bibó wizja regionu

 Send to Kindle

Już nie lęk, ale raczej żywa świadomość zagrożenia własnego bezpieczeństwa cechuje nasze społeczeństwa - przeczytaj w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Projekt: Intermarium tekst Dominika Tylki na temat wizji Istvána Bibó regionu środkowoeuropejskiego.

Polacy są niebezpieczni, Polacy są zacofani, Polacy mogą wywołać kolejną wielką wojnę. Nie tylko z resztą oni. Uważać trzeba również na Węgrów, Czechów, a nawet o zgrozo ... Słowaków. W ten sposób widziani byliśmy przez wielu europejskich polityków w przeszłości i tak nas postrzegają zachodnie elity i dzisiaj. Bruksela, Berlin, Paryż, a ostatnimi czasy nawet Waszyngton. Zewsząd słysząc o naszym awanturnictwie i niedojrzałości.

Na ile jednak sądy te są uzasadnione? Czy na pewno wydając je odnosi się nas do współczesnej sytuacji politycznej? Czy kryteria oceny naszych działań stosuje się na równi do pozostałych państw europejskich? Wydaje się, że jest zupełnie inaczej. Za punkt odniesienia dla naszej polityki zachodnia opinia publiczna ponad wszystko uznaje historyczne doświadczenie środkowoeuropejskiego regionu; dodajmy przy tym niezwykle trudne. Warto jest więc przyjrzeć się, co też sprawia, że jesteśmy stawiani niejako poza państwami Zachodu; że nie jesteśmy uznawani za jednych z nich; że wciąż musimy się starać i instytucjonalizować naszą przynależność do cywilizowanego Zachodu.

Nasza warunkowa przynależność do Zachodu wynika z określonej wizji naszego regionu. Okazała się tak trwała i na tyle silnie obecna w świadomości przedwojennych elit Paryża, Londynu czy Berlina, że pomimo całych dekad od

spacyfikowania tej części Europy, wielu zachodnich komentatorów wciąż wyczekuje na polsko-czeską wojnę o Zaolzie. Postawmy się więc na moment na miejscu francuskiego dziennikarza, który znając jedynie powierzchownie historię polityczną naszego regionu, próbuje zrozumieć co się właściwie u nas dzieje. A że dzieje się coś niedobrego dla każdego „oświeconego” Paryżanina jest rzeczą więcej niż pewną. Podchodząc do sprawy poważnie sięgnąć ów dziennikarz mógłby do lektury na temat regionu niemalże obowiązkowej, autorstwa uznanego na świecie badacza polityki, w dodatku autochtona, bo Węgra, Istvána Bibó. W tekście *Nędza małych państw wschodnioeuropejskich* nie tylko wykazał przyczyny i objawy tytułowej nędzy, w jakiej tkwią środkowoeuropejskie narody, ale co ważne, wskazał na ich odpowiedzialność za tenże stan oraz widoczną skazę na kulturze politycznej, która prędzej czy później na nowo da o sobie znać. I chociaż z częścią postawionych przez Węgra tez ciężko jest mi się zgodzić, to clue jego rozważań wydaje się nieprzyjemnie prawdziwe. Pytanie, które właściwie można by postawić na końcu tego tekstu, a które ja stawiam już teraz, brzmi, czy diagnoza I. Bibó dla naszego regionu jest wciąż aktualna? Wszak jego pisma pochodzą z początku zimnej wojny. Być może jednak wciąż tkwimy w naszkicowanej przez niego nędzy, a uprzedzenia salonu znad Sekwany mają swoje uzasadnienie? Niech ta wątpliwość towarzyszy nam w trakcie niniejszej lektury bez względu na własne w tej sprawie stanowisko.

Na wstępie odpowiedzmy sobie za I. Bibó, jak cywilizowany świat może postrzegać Europę Środkową:

(...) całe terytorium, które rozpościera się na wschód od Renu, między Francją a Rosją, cechuje zasadnicze zacołanie w dziedzinie kultury politycznej. Wskazuje się na zacołany antydemokratyczny charakter stosunków społecznych w tej części Europy, na brutalność metod politycznych, ciasnotę, małostkowość, wulgarność tutejszego nacjonalizmu; twierdzi się, że władza polityczna znajduje się w rękach arystokratów – wielkich posiadaczy ziemskich, monopoli kapitalistycznych i klik wojskowych, od których kraje Środkowej i Wschodniej Europy nie mogą uwolnić się własnymi siłami. Mówi się wreszcie, że to terytorium jest wylęgarnią rozmaitych mętnych, mglistych i kłamiwych koncepcji filozofii politycznej.

W zdecydowanej większości węgierski myśliciel zgadza się z tą diagnozą. Przestrzega jednak przed przyjęciem pochopnym wniosków płynących z tak przedstawionej specyfiki tego obszaru. Daleki jest bowiem od obarczania narodów tu żyjących jakimś przyrodzonym niedorozwojem społeczno-politycznym. Widoczne zacofanie jest bowiem skutkiem kilku zjawisk, które występując wspólnie przyniosły, zdaniem Węgra, tak katastrofalne skutki. Pochylmy się więc nad tymi zjawiskami i drogą nam w swych „Esejach Politycznych” wytyczoną poszukajmy przyczyn naszej słabości.

Zacofanie społeczne i kryzys polityczny

Zacznijmy od początku. Skąd wzięła się Europa Środkowa? Zaznaczyć należy w tym miejscu, że autor nie przykładą do samego określenia „Środkowa” zbyt dużej wagi, stosując ją zamiennie z Środkowo-Wschodnią, a niekiedy Wschodnią. We współczesnym dyskursie zwykło się jednak nazywać ten region właśnie Europą Środkową. Jej genezy należy upatrywać już w czasach średniowiecza, kiedy to oparty na osobistym kontrakcie system lenny ustępował poddaństwu mniej więcej na linii Renu. W tym sensie nasz region I. Bibó określał jako strefę przejściową pomiędzy zachodnim rozwojem społeczno-ekonomicznym a wschodnim zacofaniem. Odnosząc się zaś do historii, I. Bibó sięgnął jeszcze dalej, wskazując na istotną, chociaż nie decydującą rolę rzymskiego dziedzictwa, które stanowić miało cywilizacyjny fundament zachodnioeuropejskich narodów. Dziedzictwa, którego na wschodzie miało oczywiście brakować. W ten sposób, przez węgierskiego myśliciela zarysowany został kształt Europy z cywilizowanym Zachodem, zacofanym Wschodem oraz Europą Środkową jako „czymś pomiędzy”.

Takie usytuowanie nie musiało jednak skutkować polityczną słabością czy obecną nędzą. I. Bibó zauważył bowiem, że za trudną sytuację w naszym regionie, poza społeczno-kulturowym zacofaniem, odpowiadają jeszcze określone wydarzenia polityczne. Wśród nich dwa uznaje za decydujące: upadek trzech wielkich monarchii – Polski, Czech i Węgier, oraz powstanie imperium Habsburgów.

Zrozumiałym jest, jak duże znaczenie dla stabilności i ewentualnej konsolidacji regionu miało istnienie wspomnianych trzech królestw. Ich zniknięcie stanowiło zagrożenie dla stabilności politycznej tych ziem. Zasadniczym problemem był fakt, że, jak twierdzi I. Bibó, dawna Polska, Czechy i Węgry osierociły tysiące świadomych swej tożsamości Polaków, Czechów i Węgrów. Propozycją jaką im przedstawiono było pozanarodowe imperium Habsburgów, będące projektem z natury swej austriackim o silnie elitarnym systemie rządów. Po kilku wiekach własnej państwowości, dopiero co wykształciwszy elity narodowe, Polska, Czechy i Węgry znikły z mapy Europy. Musiało to wzbudzić frustrację wśród grup dotychczas partycypujących we władzy. I taki właśnie stan deficytu „własnego” państwa zastała w tym regionie ... „Wielka” Rewolucja Francuska.

Tym, co w imperium Habsburgów miało być najbardziej niebezpieczne była jego strukturalna słabość. Monarchia pozwoliła bowiem na powstanie wewnątrz siebie ruchów, które były wymierzone przeciw niej samej. Rodzące się nacjonalizmy wypełniły swą uczuciowością i mocą nie Austrię, ale dawne struktury i wyobrażenia, wznosząc na sztandarach właśnie swe historyczne państwa. Próba jednoczenia regionu poprzez określenie go austriacką niemieckością zaczęła się zbyt późno, bo dopiero w drugiej połowie XVIII wieku. Ewolucja systemu politycznego imperium choć doraźnie łagodziła pojawiające się kryzysy, w dłuższej perspektywie wzmocniła jedynie siły odśrodkowe. I. Bibó mocno podkreśla, że państwo Habsburgów było słabe i sztuczne, a przez swoje uporczywe trwanie stworzyło jedynie podglebie dla mającej nadejść nędzy.

Nacjonalizm językowy

Wiek XIX i XX w całej Europie stał pod znakiem nacjonalizmu. Wspomnieć należy w tym miejscu o wyraźnej niechęci pisarza do nie tylko totalitarnych system władzy, ale również nacjonalizmu, jako niewiele mniej szkodliwego. Odnosząc to zjawisko do Europy Środkowej, I. Bibó wskazuje na specyficzną dla nas formę nacjonalizmu - językową. Nigdzie bowiem na taką skalę język nie

stanowił uzasadnienia dla nacjonalizmu. Na zachodzie kontynentu jego uwaga skierowana była przede wszystkim na państwo, jego kształt, formę i misję. Wszak, nie ma przecież niczego dziwnego w tym, że Niemiec mówi po niemiecku, a Anglik po angielsku. Było to rzeczą naturalną i w żaden sposób nie musiało angażować elit. Dla mieszkańców naszej części kontynentu ta oczywistość była jednak zupełnie obca. Chłop mógł mówić słowackim dialektem, być zmuszony do posługiwania się językiem węgierskim, zaś od nowej władzy słyszeć, że jest w zasadzie Czechem. Wszystko to było wielce uznaniowe. Stąd, wcale nie dziwi, że język stał się nie tylko narzędziem w walce o własne państwo, ale również jego upowszechnianie i międzynarodowe uznanie stać się miało głównym zadaniem tegoż państwa. Istnienie języka określało sam naród, uzasadniało polityczne aspiracje lokalnych elit oraz wyznaczało zakres terytorialnych roszczeń. Stąd, podważając istnienie samego języka, podważało się zasadność całości starań o polityczną emancypację. Niech więc nie dziwią słowackie starania o wykazanie różnic z językiem czeskim, czy do dziś trwająca „wojna” o to, czy język chorwacki jest dialektem serbskim, czy jest dokładnie odwrotnie. Stawką w tej dyskusji jest bowiem zasadność własnej państwowości. Skutkiem tego wszystkiego, odwrotnie niż na zachodzie Europy, było to, że to nie mieszczańsko-kupieckie elity stawały w Polsce czy na Węgrzech w walce o umasowienie tożsamości narodowej, ale narodowa inteligencja, walcząca przede wszystkim słowem. Jak pisze I. Bibó, mieliśmy tu do czynienia z prawdziwym dyktatem historyków i pisarzy. Ci zaś odrzucali pokojową i koncyliacyjną postawę mieszczanina, za wzór raczej stawiając walczącego o wszystko i ze wszystkimi szlachcica.

Lęk

Specyfiki naszej części Europy, zdaniem I. Bibó, nie da się również zrozumieć bez uświadomienia sobie, jak powszechne i głębokie wśród naszych narodów było poczucie lęku. Nie zrozumie tego Anglik czy Niemiec. W ich państwach wydarzenia wzbudzające taki lęk miały miejsce średnio co kilka lub kilkanaście dekad. Trwały przy tym stosunkowo krótko, a trauma mijała za życia jednego pokolenia. W naszym regionie takie poczucie lęku było stałe. Wszystkie decyzje

polityczne były podejmowane w atmosferze zagrożenia dla wolności osobistej oraz z obawą o los całej wspólnoty. Opowiedzenie się po nieodpowiedniej stronie konfliktu mogło dla Polaków czy Czechów skutkować czymś zupełnie innym niż dla Holendrów i Francuzów. Kiedy na Zachodzie martwiono się wysokością wojennych reparacji, utratą spornych terenów lub przesunięciami dynastycznymi, w naszej części Europy obawiano się decyzji o odebraniu resztek wolności i wynarodowieniu. Nie jest łatwo pojąć ten zupełny brak symetrii w skutkach podjętych działań na Zachodzie i w Środku naszego kontynentu.

I wojna światowa umożliwiła środkowoeuropejskim narodom wywalczyć, a niekiedy bez walki otrzymać własną państwowość. Co brzemiennie w skutkach, „stare” narody takie jak Polacy, Czesi, Węgrzy, ale i Serbowie czy Bułgarzy, nie wyrzekli się swej historycznej perspektywy w postrzeganiu państwa. Kwestią kluczową w prowadzeniu polityki zagranicznej było odzyskanie zagarniętych w przeszłości ziem. Dodajmy jednak, że terytoria te zajęły już inne państwa. Kryterium etniczne całkowicie ustąpiło przed kryterium historycznym. Wszystko, co związane było z możliwością odzyskania „należnych” ziem miało być słuszne. Rozpatrywano kwestie zgoła terytorialne w kategoriach moralnych. Usprawiedliwione miało być nie tylko wszystko, co służy narodowi, ale może i przede wszystkim, to co sprawi, że dziedzictwo przodków przyłączone zostanie z powrotem do macierzy. I tak np. Polska żądała zwrotu „litewskiego” Wilna i „czeskiego” Zaolzia, a Węgry znaczącej części terytorium ówczesnej Czechosłowacji, Rumunii i Serbii. Konfliktowa polityka rewizji granic miała zastąpić bardziej pokojową politykę idei.

Taki obraz Europy Środkowej zostawił światu I. Bibó – obszaru zacofanego, skłóconego, nacjonalistycznego, agresywnego, niedemokratycznego, a ponad wszystko działającego pod wpływem lęku. Wśród przyczyn, poza społecznym zacofaniem, utratą własnej państwowości i nacjonalizmem językowym, wskazał na stan ciągłego skonfederowania – gotowości do walki nie tylko o wolność i dobrobyt, ale przede wszystkim o przetrwanie wspólnoty.

W Paryżu czy Londynie perspektywa I. Bibó jest niezwykle popularna; podobnie jak on rozumieją pewną prawdę o naszym regionie. Europa Środkowa jest bowiem może skłócona i zacofana, a w dodatku, co współcześnie nad wyraz często podnoszone, w porównaniu do Zachodu wciąż biedna. Jest jednak przez wzgląd na swoje położenie i trudny charakter niezwykle ważna. Jak czytamy w „Esejach Politycznych”:

Problemy Europy Środkowej różnią się od wszystkich małych i dużych problemów Bliskiego i Dalekiego Wschodu czy półkuli zachodniej jedynie błahostką, tą mianowicie, że w życiu jednego pokolenia wywołały już dwie wojny światowe (...)

Europa „gorszego” sortu?

Swoje rozważania nad przyczynami naszej nędzy – słabości i permanentnego skonfliktowania, I. Bibó kończy pewną ważną refleksją. Otóż, jest dla naszego regionu nadzieja. To, co mogłoby rozwiązać większość z naszych problemów i, przy dobrej woli narodowych elit, umożliwić nowy początek, to kompletne unormowanie kwestii granic. Wyrzeczenie się ambicji terytorialnych kosztem sąsiadów ma być jedyną drogą do trwałego pokoju w Europie Środkowej. Sam Węgier wątpi jednak w taki scenariusz. Nie ma się jednak co temu dziwić. Lata powojenne, kiedy to tworzył I. Bibó, wciąż były areną bezwzględnej dekonstruowania granic w Europie. Zacofanie społeczne i niska kultura polityczna są za pewne wielkimi wyzwaniem, ale w warunkach pokoju możliwymi jednak do podjęcia. Kluczowa jest więc akceptacja własnego stanu posiadania i wyrzeczenie się roszczeń.

Zdziwiłby się niezmiernie węgierski pisarz, gdyby dowiedział się, jak bardzo Europa się zmieniła od zimnej wojny. To co uznał za bardzo wątpliwe, a więc wzajemne i pokojowe uznanie swej suwerenności przez państwa w regionie, stało się faktem. Upadek bloku wschodniego wbrew oczekiwaniom wielu zachodnich analityków i polityków wcale nie odnowił nędzy i lawiny konfliktów. Lata wymuszonego przez Moskwę (s)pokoju zaowocował przynajmniej w tym aspekcie zmianą priorytetów w polityce. Wiele jednak zostało w

środkowoeuropejskich narodach z naszkicowanych przez I. Bibó nędzy. O ile kwestia rewizji granic została zepchnięta na margines debaty publicznej, to pewne elementy naszej specyfiki z całą pewnością pozostały. Wciąż bowiem jesteśmy zacofani, konfliktowi, nacjonalistyczni, agresywni i zalęknieni.

Cała Europa zmieniła się przez ostatnie kilka dekad. O ile we wcześniejszej sytuacji międzynarodowego napięcia, przytoczone powyżej cechy naszego życia politycznego przyniosły nam prawdziwą nędzę, o tyle w warunkach europejskiej integracji i wyrugowania nacjonalizmu z głównego nurtu polityki cechy te nie są już wcale tak jednoznacznie negatywne. I tak, pewne zacofanie społeczne charakterystyczne dla nas przez kilka wieków, dzisiaj wyraża się raczej w niewłączeniu nas w nurt zachodniej nowoczesności. Czy naprawdę mamy jednak czego żałować? Charakteryzująca nas jeszcze wiek temu konfliktowość, dzisiaj w jednoczącej się Europie wyraża się przede wszystkim w pewnej nonkonformistycznej postawie. Jesteśmy gotowi, pomimo świadomości naszej bardzo słabej pozycji międzynarodowej, śmiało wyrażać własne opinie i wielu sprawach nie zgadzać się z regionalnymi mocarstwami. Gdyby nie ta nasza „konfliktowość”, zupełnie inaczej wyglądać by mogła europejska polityka. Za pewne byłaby bardziej niemiecko-francuska, a mniej słowacka, czeska, węgierska czy polska. Szalejący jeszcze siedemdziesiąt lat temu nacjonalizm dzisiaj już utracił swój ksenofobiczny charakter. Pozostawił jednak coś, czego na próżno szukać w Holandii czy Francji – silne więzy społeczne i mocny fundament wartości całego narodu. Wciąż bowiem myślimy o Polsce jako czemuś ideowo określonemu i silnie zakorzenionemu w historii. Tak samo myślą Węgrzy czy Serbowie. W końcu lęk, który tak długo towarzyszył poszczególnym narodom w naszym regionie. Czech i Węgier jeszcze przez wiele lat nie będzie czuł się jak Francuz. Już nie lęk, ale raczej żywa świadomość zagrożenia własnego bezpieczeństwa cechuje nasze społeczeństwa. To, jaki szok przeżywa Europa Zachodnia jest najlepszym dowodem na to, jak mocno różnimy się w postrzeganiu bezpieczeństwa. My wiemy, że pokój nigdy nie jest dany raz na zawsze i trzeba być gotowym, aby o niego walczyć. Chociaż w codziennym życiu Słowaka ta świadomość nie jest tak silnie obecna, to w momentach kryzysowych jak wojna w Gruzji, doskonale się przekonaliśmy, że

nasz region, do niedawna „załękniony”, jest dzisiaj czujny, chociaż być może, w niektórych przypadkach wręcz przeczulony. W końcu ostatnia nasza cecha, o której I. Bibó nie wspomina, gdyż ta jest pewnym novum. Wszystkie nasze doświadczenia, łącznie z komunistyczną dominacją i antysowieckimi rewolucjami, pokazały narodom środkowoeuropejskim, że rzeczywistość polityczną da się zmienić; że jako wspólnota można osiągać rzeczy wielkie, nawet jeżeli nieczęsto takimi te rzeczy pozostają. Świat dla Polaków, Czechów, Słowaków, Węgrów, Serbów i Chorwatów nie skończył się z rozpadem imperium Habsburgów. Nie skończył się również z upadkiem reżimów komunistycznych. Te doświadczenia uczą nas zatem, że i w przypadku ewentualnego rozpadu Unii Europejskiej, narody Europy Środkowej poradzą sobie z tym problemem. W przeciwieństwie do narodów Europy Zachodniej, wiedzą bowiem, jak budować na gruzach.

Dominik Tylka